XII Kraków, 1 czerwca 1909. Nr. 11.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki, 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Zacisze 7. Telefonu Nr. 479.

– Ależ, to się można przecież wściec! Siedzisz już przeszło godzinę i nic się złapać nie chce!

– Moja kochana, trzeba się uzbroić w cierpliwość! Pamiętasz, że ja koło ciebie kręciłem się sześć miesięcy, zanim mnie twoja mama złapała na żeniaczkę..

C. k. Sąd krajowy, jako prasowy, na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli §. 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 10-tym czasopisma »Bocian« z dnia 15 maja 1909, artykuł pod tytułem: „Bowiem mu pękła guma“ [str. 2-cia łam 2-gi] zawiera w ustępie rozpoczynającym się od wyrazów: „Druh jego Teos“ a kończącym się wyrazami: „pękła guma“ znamiona występku z § 516 uk., że zakazuje się rozszerzania tego artykułu zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru — a cały nakład takowego ma być zniszczonym. C. k Sąd krajowy jako pras. S. III.

Kraków d. 14 maja 1909.

Po powrocie z Bośni.

Antek (od 13. pułku piechoty) — opowiada Kaśce swe przygody:

— Wisz Kaśka, jak my ci pośli do Mostaru, to Turki posłały aż deputacye do oberśta, żeby nom kozał we wualkach chodzić po ulicach, tak się za nami furt brzany obglądały!

Dobroczyńcy ludzkości.

Niedawno aresztowano we Wiedniu fałszerza monety, który tłumaczył się, że dlatego podrabiał banknoty 50 koronowe, aby zebrać fundusz na studya nad malaryą. Za jego przykładem powinni pójść i inni koledzy po fachu, a w krótkim czasie dowiemy się z gazet o:

1. *Radiologicznym opryszku*, który przechodniom na odludnych ulicach zabiera zegarki, portmonetki itd., aby w ten sposób uskładać sobie 100.000 koron, które chce ofiarować na budowę radiologicznego instytutu.

2. *Anatomicznym mordercy*, który tu i ówdzie kogoś śmiertelnie zranił, ponieważ dowiedział się iż w zakładzie anatomicznym zabrakło materyału sekcyjnego..

3. *Gościu*, który ukradł futro w kawiarni, aby młodz biedakom ofiarować w zimie swą dziurawą zarzutkę.

4. *Litościwym łotrze*, który kradnie, rozbija, oszukuje względnie dlatego, aby obrońcy, reporterzy i podobne indywidua miały co robić i nie poginęły z głodu.

Przy zmianie mieszkania.

— Panie gospodarzu, mieszkanie w które się wczoraj sprowadziłam, aż roi się od pluskiew!

— E . . . proszę pani, te pluskwy to przyniesione są raczej z pani meblami!..

— Co też pan mówi...... ale nie tak dużo!

RÓŻNE NAGROBKI.

Kasyerowi — Rada miejska.

Lat czterdzieści, a już do snu oczy zmrużył,
Ten, co miastu niegdyś wiernie służył —
Reputacya jego źdźbłem nie była tkniętą,
Cudza własność dl ń zawsze była rzeczą świętą!

Lat piętnaście w naszej kasie strawił,
Umarł biedny i nic nie zostawił!
Stałeś przy oborze tak długo i wzniośle,
Dlaczegożeś ty nie kradł! Oj, ty głupi ośle!...

Żonie — mąż.

Tu spoczywa Ksantypa jasnowłosa,
Której koniec zadać mogła tylko śmierci kosa;
Śmierć jej w mieście smutku moc wywarła,
O! dlaczegożeś ty już wcześniej nie umarła?...

Może kogo stan małżeński nęci,
Niech zachowa zatem wiersze te w pamięci:
Śpij spokojnie, tak jak gdyby skała,
Byś, broń Boże, jeszcze raz nie wstała!...

Młodej wdowie.

Tu spoczywa piękna, młoda wdowa,
Wspomnień godna, zacna i wzorowa!
Ze swej hojności znaną była wszędzie,
Niech jej też dziś za to ziemia lekką będzie!

Robiła wszystko, co w jej było mocy,
Wspomagała we dnie — ba nawet i w nocy —
W miłosierdziu granic już prawie nie znała,
Dla potrzebującego ostatnią koszulę zdejmowała!...

Szansonistce.

Tu spoczywa szansonistka mała,
Która nas swym głosem nieraz zachwycała.
Niejednego z grosza ona rozebrała,
A jak już był goły — za drzwi go wylała!

Dzisiaj leży ona w ziemi chłodnej,
Już nie w penioarze i sypialni modnej —
Leży tu ta niegdyś ubóstwiana dama,
Biedna, opuszczona, po raz pierwszy... sama!

Brylantowa myśl.

On Jaka pani zimna! Aż strach! Gdybym przynajmniej wiedział, czem panią można rozgrzać?

Ona. Spróbój pan skrystalizowanym węglem....

Z anekdot politycznych.

Gdy cesarz Wilhelm oczekiwany był w Poli, gdzie miał wysiąść na ląd, komendant portu wydał rozkaz do wszystkich kapitanów okrętów i inżynierów kierujących budową statków, aby załoga okrętowa i robotnicy, zajęci przy budowie witali cesarski jacht według przyjętego w Prusach zwyczaju t. j. lewą ręką kapelusz ma każdy trzymać na piersi, prawą zaś, zgiętą pod kątem 45° wznieść w górę i głośno a wyraźnie krzyczeć trzy razy *hura*! Komendant wyraźnie zaznaczył, że polecenie jego musi być *dosłownie* wykonane pod grozą surowej odpowiedzialności. Najgorzej jna tem wyszedł inżynier kierujący budową okrętów, właśnie w miejscu, którędy przejeżdżał statek wiozący cesarza, musiał bowiem kupić najpierw tyle kapeluszy, ilu robotników zajętych było przy robocie, nosili oni bowiem czapki, a w rozkazie była mowa o kapeluszach!

Porucznik wojska serbskiego wpada do baraku oficerskiego pod Niszem i melduje pułkownikowi, iż w kazamacie ogniotrwałej zajęła się powłoka asbestowa, a ogień przedostał się do prochowni, która wyleciała w powietrze. Pułkownik zrazu nie chciał wierzyć, gdy go jednak oficer przekonywał, udał się na miejsce wypadku. Oglądnąwszy gruzy dymiące jeszcze, rzecze wreszcie poważnie do otoczenia:

Że asbest się zapalił.. to rzecz możliwa, że kazamata się zajęła... i to się dzieje... ale że proch eksplodował, tego absolutnie pojąć nie mogę!

W podróży na wschód zagościł do Tryestu pewien wiedeńczyk, który znał to miasto ale nie był w niem od lat kilkunastu. Chodząc po ulicach i podziwiając nowe budowle, stanął wreście przed okazałym gmachem i z ciekawością zagadnął jakiegoś przechodnia coby to mógł być za budynek. Tryesteński Włoch odparł mu na to z flegmą:

— *Quest adificio! Il consulato austriaco*!

Był to gmach c. k. namiestnictwo w Tryeście!



Woda kolońska.

Humoreska.

Przed kilku tygodniami postanowiłem odwiedzić mego najlepszego przyjaciela Freda, z którym niejeden dzionek i nockę przepędziliśmy razem, w czasie jeszcze, kiedy stał pułk jego w Budapeszcie. Przed kilku laty przeniesiono go niestety wraz z całym pułkiem w głąb Galicyi, do jakiejś obskurnej dziury — i od tego czasu nie widzieliśmy się zupełnie. Jakaż więc szalona radość malowała się na twarzy mego przyjaciela, kiedy, nie zapowiedziawszy się wcale, wpadłem wczas rano prosto z pociągu do mieszkania mego przyjaciela.

Freda zastałem jeszcze w łóżku. Jak na taką galicyjską dziurę, przyjaciel mój miał mieszkanie wcale przyzwoicie urządzone i umeblowane. Eleganckie łóżko, ładne stylowe krzesełka i marmurowa umywalka. Pomiędzy przepaskami na wąsy, szczoteczkami do zębów i mydłami, zwrócił przedewszystkiem moją uwagę duży elegancki flakon, na którym złotemi literami widniał wypisany napis:

Johann Maria Farina's
echtes Köln-Wasser.

Znając Freda od dzieciństwa prawie, wiedziałem, że nie znosi żadnych perfum — wyraziłem więc zaraz moje zdziwienie, zapytując, czy się przypadkiem nie kocha?

— A z czego to wnosisz?

— Z tej flaszki z wodą kolońską — wiem bowiem, że taki flakon kosztuje zawsze kilka guldenów?

— Ba! Gdyby to tylko guldenów — trochę drożej!

— Drożej? Tem gorzej, przypuszczenie moje ma więc podstawę, jeżeli kupujesz perfumy po kilkanaście guldenów!

— Mylisz się! Przypuszczenia twoje są błędne — flakon ten jednak chowam na pamiątkę, kosztował mnie bowiem przeszło sto tysięcy guldenów.

— Wiesz co, ale albo blagujesz, albo też masz mnie za głupca, nigdy bowiem nie uwierzę, aby flakon wody kolońskiej wartości kilku guldenów, mógł kosztować sto tysięcy guldenów.

— A jednak niestety prawda — odpowiedział Fred. — Zresztą jako przyjacielowi memu, mogę ci historyę tę opowiedzieć, pod warunkiem jednak, że zatrzymasz ją przy sobie. Otóż rzecz miała się następująco. Przed trzema laty, kiedy byłem jeszcze tylko porucznikiem, dostaję od ojca list, w którym pisze mi, że wuj mój, a rodzony brat mej matki, starzec prawie siedmdziesięciokilkoletni, chory prawie nieuleczalnie, poślubił młodą, ośmnastoletnią panienkę. Przeszkodzić temu się nie dało. Ponieważ jednak wuj posiadał majątku przeszło dwakroć sto tysięcy guldenów, trzeba było bodaj coś z tego uratować, aby w razie śmierci młoda wdowa wszystkiego nie zabrała, wuj bowiem jest w niej tak rozkochany, że gotów dla niej wszystko zrobić. Ty zaś — pisze mi ojciec — jako jego pupil i ulubieniec, może przecie co wskórasz. Jedź więc zatem natychmiast i rób co się da.

Nie namyślałem się długo — wziąłem urlop i w kilka dni po otrzymaniu listu ojca, byłem już w majątku mego wuja na Węgrzech.

Wuj przyjął mnie z otwartemi rękoma i nadzwyczaj serdecznie, a następnie przedstawił swojej młodej żonie, pani Emie. Przyznam ci się, że byłem zdumiony i nie dziwiłem się, że stary dla takiej kobiety zwaryował. Czarne, jarzące się oczy, hebanowe włosy, cera jak kość słoniowa, ząbki jak perły, biust, nóżka — słowem stanąłem jak głupi wobec tylu wdzięków, nie wiedząc po prostu na co pierwej patrzeć.

Pomimo najszczerszych chęci, nie mogłem mojej rywalki do spadku po wuju nienawidzieć, tak dyabelnie ładną i apetyczną była. Cały dzień zastępowałem jej zajętego w tym dniu wyjątkowo wuja, który miał interesantów przybyłych z daleka, w sprawie jakiegoś kupna i zjawił się dopiero wieczorem przy kolacyi. Wujenka moja była w znakomitym humorze, ja również, stryj tylko przebąkiwał ciągle coś o śmierci, co niestety zwarzyło trochę nasze humory. Po kolacyi z poważną miną zaprosił mnie wuj do swego gabinetu i przemówił do mnie w następujący sposób:

— Kochany Fredziu! Wiem że cała rodzina ma mi to za złe, że się ożeniłem, ale bądź spokojny, krzywdy przedewszystkiem tobie nie zrobię..

— Ależ myli się stryj — przerwałem — ja ani też nikt z rodziny nie mamy żadnej pretensyi...

— Mój kochany, nie przerywaj, ale słuchaj! Otóż chciałem ci właśnie powiedzieć, że przed kilku dniami sporządziłem notaryalny testament, którym na wypadek mej śmierci zapisałem jedną połowę majątku mojej żonie, drugą tobie.

— Ależ kochany wuju — zawołałem uradowany — co tam mówić teraz o śmierci, kochany wuj świetnie wygląda, a zresztą wuj może będzie miał przecie jeszcze dzieci...

— Mój kochany, tylko nie kpij ze mnie! Żeniąc się, ani o tem nie myślałem i co do tego, to możesz być zupełnie spokojnym!..

Wobec tak kategorycznego zapewnienia, podziękowałem serdecznie wujowi i wróciłem do kochanej wujenki, do której teraz nie miałem już zupełnie żadnego żalu. Była wieczorem jeszcze ładniejszą. Oglądałem ją ze wszystkich stron i fakty-

SIELANKA MIEJSKA.

Szedł poeta przez ulicę,
Obok biegły dwie spódnice,
Co na którą rzuci oko
Każda westchnie, och! głęboko,
Bo strzał przeszył Ewy córę...
A westchnienie płynie w górę.

Lecz poeta myśli sobie
Trudno razem kochać obie.
Widząc, że wciąż idą razem
Przeciął miłość tę żelazem.
Wszedł do knajpy „pod Sokołem“
A westchnienie puścił dołem.



Skutek.

— Proszę pani, ogłosiłam wczoraj w gazecie: Kto dopomoże pięknej, młodej, samotnej damie, znajdującej się chwilowo w krytycznem położeniu, pożyczając jej sto koron? Zwrot i dyskrecya zapewnione. Czy nie zgłosił się kto do mnie?

— Owszem, paniusiu, owszem, był tu zaraz rano jakiś młody pan i pytał się, czy nie zadowoliłaby się panienka tymczasem pięciu guldenami...

— No i poszedł?

— Poszedł, poszedł... ale powiedział, że wróci wieczorem po odpowiedź.

CO TEŻ SIĘ Z NIĄ STANIE?

Śpiewa dziewczę, śpiewa
O swojej niedoli,
Łzami się zalewa,
Bo ją serce boli.

Czuje, że jej serce
Z dniem każdym pęcznieje,
Bo ją Jaś porzucił
I teraz się śmieje.

Cierpi biedne dziewczę
Straszna to jest męka,
A serce tak rośnie
Omal, że nie pęka...

Na samo pytanie
Człek najtwardszy mięknie:
Co też z nią się stanie,
Gdy jej serce pęknie?



+ Także powód.

Matka (do córki): Codziennie przychodzisz po dziesiątej dopiero do domu i codziennie ubierasz całe pończochy... Wiesz, gdyby nie to, że jeszcze nie zapłaciłyśmy czynszu za maj, absolutnie nie zniosłabym tego!

W JEJ BUDUARZE.

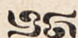
Klęczał przed nią i w zachwycie
Grą ognistych słów,
Coś wspominał o błękicie,
O aniele snów.

Ona była tym aniołem,
Ale obraz ten,
Czarodziejskich marzeń kołem
Trwożył go jak sen.

Trwożył, by się nie rozwiała
Tak jak senna mgła,
Bał się, by nie uleciała
Czarodziejka ta.

Sądził, że jest z nieba wzięta,
Wiotka jako puch,
Że na ziemię zeszła święta
I zniknie jak duch.

Ona główkę swą oparła
O młodzieńca skroń,
I całusem usta zwarła —
I — złożyła broń!



+ Nieporozumienie.

U profesora śpiewu, znakomitego Falsetnickiego, uczyła się pewna panienka, która miała ochotę obrać karyerę sceniczną. W czasie lekcyi, gdy śpiewała pieśń, w której przychodziło zdanie: *Uczucie, co w piersi się żarzy*, położyła rękę na piersiach i wzięła bardzo wysoki ton. Profesor nie odwracając się od fortepianu, powiada na to:

— Niżej, proszę pani, niżej!

Adeptka sztuki, sądząc, że to odnosi się do położenia ręki, przesunęła ją niżej o kilka centimetrów i rozpoczęła śpiewać na nowo w tym samym tonie.

— Jeszcze za wysoko — niżej! o wiele niżej! — woła rozsierdzony pedagog.

Uczenica, posłuszna rozkazowi, opuściła jeszcze, niżej rękę, nie mogąc jednak zapanować nad sobą, rzecze zarumieniona:

— Ależ... fe panie profesorze...!

ROZCZAROWANIE.

Panienki pełnoletnie
Za mężem wciąż w pogoni
Szukają kandydata
Do swej dziewiczej dłoni.

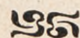
Nim uda się mężczyznę
W małżeńską wziąć obrożę —
Jest kwestyą pierwszorzędną:
„Czy *on* się żenić może?“

Mężczyźni — niemniej także
Prowadzą grę otwartą:
— Ta panna, którą poznał —
„Czy się z *nią* żenić warto?“

Po ślubie obustronny
Żal i rozczarowanie,
I obie strony mają
Odpowiedź na pytanie.

On — się zagalopował
W małżeńskim swym zapale,
Bo chociaż mógł się żenić,
Lecz — nie powinien wcale.

A *ona* (jak stwierdzono
W miesiącu miodopłynnym) —
Przed ołtarz pójść powinna
Lecz — dawniej i — z kim innym!...



+ Dobroduszny.

X.: Bój się Boga i ty nie wstydzisz się tak naciągać swego przyjaciela domu?

Y.: Dobryś sobie! To tylko żona ma korzystać z tej znajomości?

+ Przenośnia.

— O pan dobrodziej jakoś zawcześnie stracił włosy...

— Zmartwienia, łaskawco, kłopoty! Szczególniej najstarszy syn, ten jest prawdziwym gwoździem do mojej... łysiny!

+ W czasie wizytacyi.

Minister (zwiedzając więzienie): Czy więzień niema jakich żażaleń?

Więzień: Nie, ekscellencyo! To jest najlepsze więzienie na świecie, już tu jestem po raz trzynasty!

---

cznie nie wiedziałem, co więcej u niej podziwiać! Wszystko było wspaniałe, że palce lizać. Bestya stary miał wspaniały gust — nie wiedziałem tylko, gdzie on taki kąsek wyszperał.

Wkrótce potem wuj udał się na spoczynek, a ja z wujenką gawędziliśmy rozkosznie jeszcze z godzinę, zanim pożegnawszy ją udałem się do przeznaczonego dla mnie pokoju na spoczynek. Położyłem się do łóżka, zasnąć jednak w żaden sposób nie mogłem. Pamiętam jak dzisiaj, była to urzecudna noc 22 maja 19.. roku. Daty tej nie zapomnę nigdy. Zdenerwowany jednak całodziennemi wrażeniami, ani rusz zasnąć nie mogłem. Spojrzałem właśnie na zegarek, była 12-ta godzina wieczór. Dla nas mieszczuchów jest to wcześnie, na wsi jednak o tym czasie śpią już wszyscy snem kamiennym — zgasiłem więc świecę, postanawiając zasnąć. W tejże jednak chwili posłyszałem poruszenie klamką, drzwi się otworzyły i przy świetle księżyca ujrzałem w prześlicznym szlafroczku moją kochaną wujenkę. Widząc, że nie śpię, zmieszała się ogromnie i stanęła na środku pokoju.

— Przepraszam cię bardzo za prawdopodobne przebudzenie — tłómaczyła się moja wujenka, widząc, że podniosłem głowę — ale mając tak drogiego gościa, chciałam jako dobra gospodyni przekonać się sama, czy nie brak ci czego przypadkiem, gdyż na naszej wiejskiej służbie polegać zbytnio nie można. Wuj zaś śpi już od godziny... Wstałam więc umyślnie, aby się przekonać, czy służba...

— O droga wujeneczko — zawołałem w uniesieniu — doprawdy, że tyle dobroci z twej strony...

— Naturalnie — zawołała nagle moja wujenka — naturalnie! Ta przebrzydła służba! No i czy nie miałam racyi? Nie dano ci wody kolońskiej do mycia! Ale ja w tej chwili przyniosę.

Moja śliczna wujencia zniknęła znowu i za chwilę wróciła, niosąc w ręcze ten oto tu flakon z wodą kolońską, który postawiła na umywalni...

* * *

W trzy miesiące potem umarł mój drogi wuj. Naturalnie, że jako spadkobierca połowy jego majątku, oddałem mu ostatnią przysługę i byłem na pogrzebie Wujenka była jeszcze piękniejszą w żałobnej sukni i jeszcze serdeczniejszą dla mnie.

W ośm dni po pogrzebie, otrzymałem od ojca list, w którym zawiadamiał mnie, że był przy otwarciu testamentu wuja i że zupełnie tak samo jak mi to wuj za życia oświadczył, majątek swój rozdzielił na dwie równe części, z których jedną zapisał żonie swojej a mej wujence, drugą zaś, w braku potomka własnego, przeznaczył dla mnie.

Stosownie więc do polecenia ojca, wyjechałem natychmiast do Koszyc, do notaryusza mego zmarłego wuja, celem porozumienia się w sprawie objęcia spadku. Któż opisze jednak moje zdumienie i przerażenie, gdy notaryusz oświadczył mi, że zapis na moją korzyść, uczyniony przez wuja w testamencie z powodu braku własnego potomka, stracił obecnie swą moc, a to z tej prostej przyczyny, że wujenka moja znajduje się w takim stanie, który się każe właśnie potomka spodziewać.

Zgłupiałem!

— Tak, tak, nie ma się znowu czego tak bardzo dziwić — powiada do mnie staruszek notaryusz, kiwając głową. — Ja już kilkakrotnie mój panie miałem podobne wypadki i doszedłem do przekonania, że jeżeli bardzo starzy mężczyzni poślubiają bardzo młode i przystojne kobiety, to małżeństwa takie nie są nigdy bezdzietnemi!...

— Ależ ty tam byłeś przecież przez dni kilka — odzywa się obecny przy tem mój ojciec — nie przypominasz sobie może, czy nie zauważyłeś tam przypadkiem czegoś takie gopodejrzanego? Nie masz może kogoś w podejrzeniu?

— Zapewniam ojca stanowczo, że nikogo nie mam w podejrzeniu.

Dnia 22-go lutego 19.. roku, urodziła moja wujenka zdrowego i wspaniałego syna. Nowy dziedzic otrzymał cały majątek mojego wuja, jako spadek po swoim ojcu, t. j. majątek wartości przeszło dwieście tysięcy guldenów.

Głęboko wzruszony — współczując szczerze z mym przyjacielem, uściskałem serdecznie jego rękę i zaczęliśmy mówić o zupełnie czemś innem.

* * *

W kilka tygodni później, przypadek czysty tylko, zapędził mnie właśnie w stronę, gdzie leżał majątek nieboszczyka wuja mego przyjaciela. Interesa tak się złożyły, że wypadło złożyć mi wizytę wujence mego przyjaciela. Młoda wdówka przyjęła mnie bardzo uprzejmie, przy czem z dumą pokazywała mi, co prawda nadzwyczaj ładnego dwuletniego chłopca.

— No, a jakże na imię młodemu następcy — spytałem uszczęśliwionej młodej matki...

— „*Jan Marya*“ — brzmiała odpowiedź.

— Zapewne na pamiątkę, że ktoś w rodzinie łaskawej pani nosił to imię? — spytałem ciekawie.

— Właściwie nie, ale wie pan, ja mam szczególny szacunek dla firmy ***Jan Marya Farina***, wynalazcy wody kolońskiej! Nie ma pan poprostu pojęcia, i to, co prawda, będzie się panu może wydawać śmiesznem, ale ja go — choć on już podobno przed więcej, jak 50-ciu laty umarł — poprostu ubóstwiam!



Ferdek Eleuteryk.

Teroz już ani myśle wyjeżdżać z Krakowa, tyle mom roboty. W tamtym tygodniu zaprosiuł Ignac wszelakich repryzentantów burżuazyi i preletaryatu, aby stanąć w obronie uczuć narodowych, na które zawzion sie Biliński, który oby za to nie zaznał przyjemności, jaką daje blacha silnej z mocną lub bomba okocimera, choćby nawet był rodem z Krakowa. Psioczyliśmy okropicznie na wszelaki rząd, ministrów i burżujów i powzieni rezolucye, co żaden prawowierny obywatel, katolik, gudłaj, czy bezwyznaniowiec, nie powinien chary ani sikonia wziąć do gęby, jeśli rząd się nie upamięta i nie cofnie swygo przedłożynia. Zapołki niech se ta opodatkujom, mnie to nie ziąbi ani boli, obendę się bez nich, bo jak mom cienkigo a chce zapolić, to bez wszelakiej wszelakości, przystempujony jestem do pirszygo lepszygo gawra na ulicy i godom: — Panie dej pon ognia! — a przytym takie ci zrobie do niego perskie oko, że choćby chłop nimioł zapołek, to ci zaroz poknaje do trafiki, kupi i grzecznie ochwiaruje mówiący: — Proszę, proszę! A może pan pozwoli i papirusa! Że jesdem jenteligent, nie odmowiom nigdy takimu zaproszyniu. Lepij robi Wicek, ten idzie na A-B, a jak spotko gawra z brzanom, przystempuje do niego i prosi o ogiń, a jak facet daje, powiado zaroz: — Ale jo panie nimom papirusa!... Czasem sie trafi ognisty skieł i nie chce dać, ale powiado: — Kusz draniu, bo zawołom policaja!... To Wicek znów na to: — Cie... cie... wielgie micyje... niby mi to policaj taki dziwny. Myślołem, że z pana kawalir, a tymczasem widze, że żgocz! Chodzisz pon z mojom siostrom, jak to mówiom po frajcusku: dupache — a mnie, świagrowi, nie chcesz dać papirusa... Czekoj brachu, niech cie ino spotkom w samotności, to se pogodomy... Poznosz, co to krakoskie muliki!... Tak ci mu sie potym ruszy suminie, niczym po oleju...

Ze zapalczywościom nie bedzie więc kłopotu, choćby Biliński i pozalepioł pudełka banderolami, ale wedle trunkowości to zdaje sie bedzie niedobrze; dotąd człek był leuterykiem z rozkazu doktorskiego, teroz bedzie z dziadoskiego musu; Leuteryki sie cieszom, że naród nie bedzie już chloł okowity, a prefesur od leuteryi ze Lwowa, Dyboski, jak sie o tym dowiedzioł, co Biliński chce uczynić, tak się aż skirzuł z radości, a radca Miedniak wpad ze zgryzu w suchoty.

Potym mieliśmy posiedzynie kumitetu ratunkowego dla zalanych miszkańców „olejandrów“ do których i jo i Mańka jużeśmy sie przenieśli na letnie miszkanie. Obiecoł magistrat, co zajmie sie oną sprawą, niech ino będzie wielgi Kraków. Tak tyż jezdeśmy cierpliwie czekajoncy i nadzieje majoncy, że Opatrzność i magistrat bendom o nas pamientajonce. W braku innygo zajęcia poknajałem na Grzegórzki z oną kumisyą, co to poszła zrobić hyclowi czyli majstrowi od szyrokiego pola, zrewidowanie jenteresu od wewnątrz i zewnątrz. Aż ci serce puko z żalu, kiedy sie widzi, jakie podłe miszkanie ma on jegomość, choć to przecie funkcyonaryusz magistracki. I psi ród nimo tu nijakigo poszanowania, oba rodzaje siedzom w klotkach razem, choć dla przyzwoitości dla pci pięknyj powinny być: Szambr separe. Widzieliśmy i wściekniemtego psa, który zjod dwa lumery nowyj gazyty, co sie nazywo: Kronika, a weterynorz miejski orzekł, że lo niego nima już nijakigo ratonku. Bardzo nos hyclik honorowoł i czenstowoł bifsztykiem z najfundlendera, ale od tygo czasu odminiła mi sie natura i szczekom ciągiem i podnosze gicol. Godo Mańka, że to nie z onygo bifsztyka, bo jakby to była prowda, toby pół Krakowa, co jodo w restauracyjach musiała haukać jak brysie, ino — mówi — musiołem sie zapatrzyć na jakigo psa, i lo tygo te skutki.

W tamtyn poniedziałek wynajon nas kilkunastu jeden kawioż, któremu akademiki miały zrobić owacyjom. Zlazły sie i kielnery z rozmaitych bajzlów, jako rozerwa, ale nie przyszło do nijakiej wojny, bo akademików było wiencyj, i nadeszły kumisarze ze sułanami, więc choć my dostali po koronie, zwąchawszy pismo nosem dali my w ciemności dęba, czyli muwiący po wojskowemu, zrobiliśmy dysenteryę z pola walki. Mańka poszła tyż ze mną, na on feldcug, ale mi się w ścisku zgubiła. Wróciła dopiero rano i opowiadała, że ją zareresztował patrol nieprzyjacielski i odprowadziuł do główny kwatery u jednygo akademusa na Karmelickij, gdzie z niej ściągnęli pertokół. Bardzo sie dziewczyna przestraszyła, wienc na pocieszynie dali ij dwie korony, które mi w całości oddała, a jo zapisołem je na fundusz bojowy partyjny, co niniejszym kwituje.

W ostatni znów poniedziałek były imininy hrabiego z galicyjskiego Ślaku. Poknajałem pod stary tyjatr, żeby widzieć one przedstawinie, ale mnie nie puścili do środka. W bramie stoł dygnitoż z połom i powiado: — Ferdek, kochom cie bardzo, ale cie nie puszcze, bo tyś socyjalista! — A cóż to, socyjalista, nie człowiek? — pytom gawra. — Człowiek, czy nie człowiek, ale zakozali, rozumisz!... Stanołem kole bramy i oglondołem cyferblaty; był ci minister od szturkania oświatowego, był Dulemba, Puzyna, Leo, Siarski, Horośkiewic, deligat i jensze kardynały i sufragany. Były przeważnie konserwatysty od Czasu, te ze zatwardzyniem i te umiarkowane, były Reformaty, c. k. Demokraty, demokraty narodowe, demokraty skoncentrowane, były i dwa ludowce, ale chyłkiem sie wysuneły, żeby ich kto nie zoboczuł. Kużden demokrata czekoł, żeby sie na niego popatrzuł jaki hrabia, a jak mu ręke podoł, toci z wielgiej radości i ukontentowania o mało go nie cmoknoł w łape. Nie było ino socyjalnych demokratów, którzy zato w „Naprzodzie“ poświęcili hrabiemu prezesowi uroczysty feljeton, z którego widać, że to pisoł przyjaciel od serca, pon Wilhelm, co tyż nagrypsoł leteraturność. Chciołem sie potem fetegrafować na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskij, ale znowu dygnitoż od szpargałów pedo: — Ferdek, jo tu pon, nie prosiułeś mnie o pozwolenie, to bądź zdrów! Myśle sobie jeżeli te uniwersyteckie dygnitoże, tamten z pałom a ten od papirów takie jurne, to nie pude już na żodnom uniwersyteckom parade, ani nie pozwole mojej Mańce, a bedom żałować! Ale jo sie przeprosić nie pozwole!



WIERSZE... KWIATY...

Pokochałem pannę jedną
Miłością bez granic,
Tą miłością niepowszednią,
Co nie zważa na nic!

By pokazać, jak jest rzadki
Afekt mój i wielki,
Znosiłem jej róże, kwiatki,
Wiersze i karmelki!

Wiem ci bowiem, że te dary
Mają skutek wszędzie,
Więc czekałem pełen wiary,
Co z moimi będzie!

Chciał inaczej los garbaty,
Cóż ja winien temu?
Ona wzięła wiersze, kwiaty,
A dała innemu!..

Zupełnie szczera.

Mąż: Co ci jest właściwie najdroższa! Twój stan bardzo mnie niepokoi!

Żona: Nie troszcz się mój drogi. — W żadnym razie nie z twojej winy!

Żona (do męża): Edwardzie! W interesie twojego zdrowia musisz mnie jak naj rędzej wysłać do Nizzy. Jestem tak strasznie zdenerwowaną, że ty z powodu mnie możesz się poważnie rozchorować...

Praktyczna.

On. No, nie płacz — za kilka miesięcy powrócę, a tak czy tak, bez niczego cię nie zostawię. Kupię ci maszynę do szycia.

Ona. (płacząc). A... to... to... tobym już wo... wolała coś praktycz... praktyczniejszego...

On. Cóż takiego?

Ona. Naprzykład otomankę...

SKRUSZONY GRZESZNIK.

I gorzałem ci wciąż ku niej
Jakby szabasówka,
Podobały mi się oczy
I jej czarna główka.

Lecz przed dojściem do przystani
Zrzekłem się obłędu,
Bo co mi to jest za frajda
Być coś setnym z rzędu!...



I to jeszcze.

Obecnie praktykuje się po sklepach, iż członkowie niektórych stowarzyszeń korzystają z pewnego opustu.

Do jednego z krakowskich sklepów galanteryjnych, wchodzi elegancko ubrany pan i żąda kołnierzyka wykładanego Nr. 40.

— Proszę — odpowiada kupiec — kosztuje dwadzieścia cztery centy czyli 48 halerzy.

— Jestem członkiem Resursy urzędniczej, zapewne mogę korzystać z rabatu?

— Tak jest, 10 procent.

— Nadto należę do Towarzystwa Zaliczkowego.

— Również 10 procent.

— Do klubu pocztowego...

— 5 procent.

— Do związku turystycznego...

— 10 procent.

— Jestem członkiem Towarzystwa opieki nad zwierzętami.

— 12 procent.

— Nadto należę do Towarzystwa zabaw ruchomych, Miłośników miasta Krakowa, Towarzystwa Oświaty ludowej, Eleuteryi, Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, Bractwa dobrej śmierci, Lutni, Związku Narodowego, Straży polskiej...

— Razem należy się panu 117 procent opustu. 24 centy kosztuje kołnierzyk, więc... — tu wyjął ołówek i począł liczyć — otrzyma pan jeszcze przy kasie cztery centy gotówką. Moje uszanowanie.

Pan zabrał kołnierzyk, schował cztery centy i już miał wyjść, gdy sobie nagle coś przypomniał...

— Czem mogę panu służyć? — pyta kupiec uprzejmie.

— A no kupiłem przecież kołnierzyk, proszę mi dać kwitek z kasy, moje dzieci zbierają je, aby otrzymać potem rabat!...



BAJKA.

Mania była dobrem, skromnem i posłusznem dziewczęciem. „Jeżeli cię jakiś pan na ulicy zaczepi, spuść oczy i idź dalej“ — mówiła jej zawsze mama, a Mania słuchała jej ślepo. Pewnego dnia zaczepił ją na ulicy elegancki mężczyzna, a Mania zarumieniona jak wiśnia spuściła oczy i pomknęła dalej. Pan nie dał za wygraną, lecz poszedł za nią do domu, gdzie pomówił z mamą. Ta nie spuściła oczu lecz badawczo przyglądnęła się panu, według ostatniej mody wystrojonemu.

Po niejakim czasie był elegancki pan codziennym gościem w domu Mani. Obecnie, gdy sąsiadki pytają mamę, co Mania porabia, to mama s p u s z c z a o c z y.

Pod pantoflem.

— Nie pojmuję, jak możesz na to zezwalać, ażeby cię żona w tak brutalny sposób traktowała?

— Zawsze sobie myślę, widzisz, że na to zasłużyłem, żeniąc się z nią.

W koszarach.

Kapral (do rekrutów): Chamy, bydło, jak wy maszerujecie? To nie jest żaden marsz, to jest zdrada stanu!



Z życia Abdul Hamida.

(od naszego specyalnego korespondenta).

Korzystając z uprzejmości Kizlar agi, komendanta eunuchów sułtańskich, z którym razem należymy do jednej partyi politycznej, udało mi się dostać do Ildiz kiosku, akurat na dwa tygodnie przed detronizacyą sułtana. Kizlar-aga, jak każdy jego fachu, jest człowiekiem nader łagodnego usposobienia a co mnie najbardziej zdziwiło, choć stale przebywa w otoczeniu dam haremowych, okazuje widoczny wstręt do płci pięknej. Tego absolutnie pojąć nie mogę!

Poczęstowałem go na powitanie prawdziwym austryackim „szportem“, po wypaleniu którego splunął na ziemię, prawdopodobnie dlatego, iż do dziś nie może się pozbyć uprzedzenia do austryackich towarów, choć już przyjaźń Austryi z Turcyą jest urzędownie zatwierdzona. Nie przeszkodziło mu to jednak, iż z wdzięcznością przyjął paczkę naszej trzynastki, którą ofiarowałem mu w upominku. Ponieważ umie nieco po niemiecku, wytłomaczyłem mu, że napis: *mittelfeiner türkischer Rauch-tabak*, oznacza: »delikatny tytoń ze środkowej Turcyi«. W miłej pogawędce, przeplatanej licznymi wiwatami prawdziwej pomarańczówki (innej wódki nie pija w myśl poleceń Koranu) objaśnił mnie interlokutor, jak sułtan spędza dzień.

Jak wiadomo padyszach posiada kilka żon i kilkaset faworyt, sypia więc bardzo niespokojnie i krótko, kłopoty domowe spędzają bowiem sen z dostojnego oka, co każdy z nas, mający tylko jedną żonę, wie dobrze z doświadczenia. Ile to bowiem nakłopotać się musi ojciec rodziny, gdy przyjdzie żonce i córkom sprawić nowe kapelusze lub kostjumy, a tu brak monety! Jeśli więc z jedną żoną taki kłopot, cóż dopiero mówić o tym biedaku, który ma ich cały legion! Aby się obronić przed ich atakami, kazał sułtan w różnych miejscach pałacu porozstawiać pudła od nowych modnych kapeluszy swego haremu i w nich w danej chwili wraz z swym przybocznym szambelanem znajdują doskonałe schronienie. I ja skorzystałem z tego sposobu, i w jednem z nich ukryłem się w jego gabinecie, aby módz przypatrzyć się własnoocznie, jak wygląda życie następcy Mahometa.

Było mi zupełnie wygodnie, obrałem sobie bowiem za tymczasowe siedlisko możliwie największe pudło, w którem dla bezpieczeństwa wykroiłem dziurkę, aby módz dokładnie widzieć, co się dzieje w pokoju.

Właśnie w tej chwili wszedł sułtan, a za nim jego dwór. Szedł więc szambelan z fajką, drugi z tabakierką, a trzeci z wielkim czerwonym parasolem. Za nimi postępowały dwie zawoalowane damy haremowe, jedna z chustką jedwabną, którą obcierała sułtanowi nos, miał bowiem katar, druga niosła jakieś dziwne naczynie. Później przekonałem się, iż jest to przyrząd, służący do przyrządzania śniadania. Jak wiadomo, sułtan boi się otrucia przez otoczenie, najchętniej jada więc jajka na miękko, które w jego obecności musi kura znieść. Sadzają ją więc na owej maszynce, pod którą umieszczony jest rezerwoar z gorącą wodą. Jajko spada do wody i natychmiast przez pierwszego szambelana bywa podawane jego sułtańskiej mości. Ponieważ sułtan jest niecierpliwy, połyka często jajo surowe, a potem popija je wrzącą wodą.

Potem znoszą mu rozmaite stare zegarki, które naprawia z wielkim zajęciem. W tym czasie, kiedy ja byłem w Ildiz kiosku, naprawiał właśnie zegar z wieży ratuszowej krakowskiej i kompas z ogrodu botanicznego, który nie chce w nocy pokazywać godzin. W międzyczasie pociąga on często szampana, którego flaszki mają szambelanowie ukryte w kieszeniach fałdzistego munduru, aby przypadkiem nie zobaczył szeik-ul-islam (ten szampana nie lubi, natomiast przekłada koniak, o którym w koranie niema wzmianki). Najchętniej chodzi sułtan w płaszczu proroka, który służy mu za szlafrok. Od czasu do czasu posyła po którąś ze swych żon i odchodzi z nią do bocznego gabinetu, dokąd towarzyszy mu tylko jeden niemy kamerdyner, aby nie mógł powtórzyć familijnej rozmowy otoczeniu. Stamtąd wraca zwykle bardzo wzburzony.

Na obiad podają sułtanowi baranie nogi w pikantnym sosie i kawior, którego zjada dziennie kilkanaście funtów. Lubi też ciepłe nóżki i gorącą kawę, którą podaje mu jedyna prawowita małżonka we własnym imbryku. Czasami pije także mleko kwaśne prosto od krowy, karmionej gruszkami, gdyż jak powiada, reguluje mu to żołądek.

Na wszystkich drzwiach widnieją tureckie napisy, jedynie jeden z apartamentów ma podwoje opatrzone napisem angielskim: *Waterclozet*. Tam udaje się sułtan zawsze sam i zawsze osobiście, po powrocie dopiero idzie w jego ślady komisya, która ma baczenie na stan jego zdrowia.

Popołudniu odbywa się przegląd dam haremowych i defilada; tak zwane w wojskowym języku „*Besprechung*“ urządza sułtan z każdą z niewiast z osobna. Wieczorem po lekkiej kolacyi idzie sułtan spać, z obawy jednak, by nie paść ofiarą skrytobójcy, sypia co noc w innem łóżku.

Rozmyślania moje przerwał eunuch, z rodzaju czarnych, który wszedłszy do pokoju, skłonił się głęboko przed padyszachem i rzekł:

— Najjaśniejszy panie, panna Fatma zapytuje pokornie, czy nowy kapelusz dla niej nadszedł z Wiednia?

Sułtan rzucił okiem po pudłach, wskazał na to, w którem właśnie siedziałem i wycedził przez zęby:

— Ten dla niej przeznaczony!

— A co ma z nim zrobić? — pytał dalej eunuch.

— A niech sobie wsadzi go na głowę, albo gdzie jej się podoba! — odburknął zirytowany Abdul.

Eunuch wziął pudło ze mną na barki i stęknąwszy tylko skierował się w stronę haremu:

— A to ci psiakrew ciężka! To ci musi mieć dopiero pióro!...

Co dalej się działo nie mogę zdradzić... dodam tylko, że po dwu tygodniach opuściłem mury haremu, gdy sułtana wyekspedyowano do Salonik a panna Fatma, nie chcąc dzielić z nim wygnania, oddała się w opiekę Młodoturkom. Dzięki memu poparciu jest ona obecnie markietanką w pułku ułanów macedońskich i bardzo sobie chwali obecne zajęcie, a i władza przełożona jest z niej zupełnie zadowolona.



Dobra próba.

Pan Mordche Pasternak z Gródka przyjechał onegdaj do Lwowa i miał się udać do swego krewnego. Po drodze — a był właśnie na ulicy Jagiellońskiej — przyszła nań fatalna, choć całkiem naturalna potrzeba, której niestety nie miał gdzie zadość uczynić i krzywił się okropnie. W tem błysła mu szczęśliwa myśl. Spostrzegł właśnie w jednej z wystaw eleganckie pokojowe klozety w formie foteli, krzeseł, a nawet walizek. Wstąpił tedy do składu tych nocnych foteli pokojowych i kazał sobie pokazać klozet pokojowy. Właściciel składu pokazał jeden, drugi, trzeci.

— Czy pan ma z aksamitnem, albo pluszowem obiciem także? — zapytał Mordche Pasternak.

— Mam, ale w magazynie, mogę zaraz przynieść..

— Dobrze, proszę przynieść, a ja tu zaczekam — powiada Mordche, a gdy się kupiec wydalił z kantoru, zabrał się Mordche do... rzeczy. W mig siedział na fotelu i był ogromnie kontent.

Gdy właściciel handlu wrócił z pluszowym fotelem i zastał Pasternaka w tak wygodnej pozycyi, pyta oburzony:

— Co pan tu robi?!...

— To nic — powiada Mordche Pasternak — ja tylko próbuję, czy ten fotel jest dobry, ale on mi nie pasuje, pokaż pan drugi.

+ Dziwne.

— Wiesz, ja w jednym dniu z moją żoną obchodzę urodziny..

— A ja z moją rocznicę ślubu!

Cud.

Pan Zenon, sześćdziesięcioletni kawaler, żeni się z młodą panną i już w pierwszym roku po ślubie dostaje dziedzica.

— Widzisz! — rzecze tryumfująco do swego przyjaciela, który swego czasu odradzał mu żenaczkę — widzisz! — A mówiłeś, że to nie możebne!

— Eh, co tam! Już widziałem większe cuda!

— Jakie naprzykład?

— Widziałem, jak owca zjadła wilka...

— Ale... żartujesz...

— Wcale nie... tylko owej owieczce pomagały w tem dziele inne jeszcze zwierzęta...

Z podsłuchanych rozmów.

+ *Na ulicy.*

A. (Czytając kartę pośmiertną znajomego, zwraca się do B). Wyobraź sobie, wyraźnie napisane. Po długich, a ciężkich cierpieniach przeniósł się do wieczności. — Toż to prosta blaga, ja go zupełnie zdrowego spotkałem wczoraj na ulicy...

B. Bardzo być może, ale oni zdaje się mieli pisząc to na myśli, że biedak był coś około trzydzieści lat żonaty!

+ *Między prawnikami.*

A.: Co za ciekawe zdarzenie! Niech sobie kolega wyobrazi, jestem w bardzo głupiem położeniu...

B.: To zdaje się u kolegi stan chroniczny...

A.: E... koledze tylko figle w głowie... Ale mówmy seryo. Prowadzę śledztwo w bardzo zawikłanej sprawie i ani rusz się wyplątać. Wyobraź pan sobie, pewna pani z towarzystwa chciała się zapomocą trucizny pozbyć swego męża. Chłopisko chorował od kilku miesięcy, a babie się to już sprzykrzyło i postanowiła go usunąć ze świata. W tym celu dodawała mu pokryjomu rtęci do pokarmów.

B.: Toż to prosta rzecz: usiłowanie morderstwo! A umarł biedak?

A.: Otóż w tem właśnie sęk, że nie tylko nie umarł, ale nawet wyzdrowiał, gdyż słabość jego była tego rodzaju, iż wymagała kuracyi rtęciowej!

+ *Przy kawie porannej.*

Żona: Pozwól mi mężusiu na chwileczkę gazety...

Mąż: Zaraz ci służę, tylko przeczytam wstępny artykuł.

Żona: Daj mi przynajmniej środkową kartkę... Chcę tylko w kronice zobaczyć, czy nie urodził się kto znajomy...

+ *Ze spraw spadkowych.*

Ciotka (na łożu śmiertelnem rozporządzając swym majątkiem): A tobie mój siostrzeńcze zapisuję garderobę, jaka została po ś. p. mężu, a twoim wuju... (gasnącym głosem).... W szpizarni stoi wielki czarny kufer...

Siostrzeniec (bojąc się, by nie skonała): A co ma się z nim stać?

Ciotka: W nim są różne kawałki materyi.... spodnie musi się połatać...

+ W oleandrach nad Wisłą.

— Powiadam ci Ferdek, że Mańka ze Zwierzyńca, ta z cygar fabryki, co to wisz, to ci straśnie piekna brzana!

— A jakie ona mo oczy... niebieskie?

— Ale... co godosz... czorne... jak moje nogi!





— Ale gdzie mnie pan chce teraz zawieźć?

— A gdzieżbym ja panią śmiał zawieźć, jak nie do mamy...

— Do... mojej?...

— To nie, ale do mojej... bo wie pani, moja mama wyjechała właśnie na kilka tygodni za granicę i zostawiła mi do mego rozporządzenia bardzo elegancko urządzone mieszkanie, w którem nie ma żywego ducha...



— Jakiś bardzo dystyngowany turysta! Może mi się uda wziąć go na moją szkatułkę z farbami i malarstwo..!



— Powiadasz, że przyszedł pan hrabia? W takim razie podaj prędko szlafrok!... Będzie mniej ambarasu, bo on zawsze taki prędki i niecierpliwy... Zawsze mu się spieszy!...



— Wiesz Jasiu! Toż to dzisiaj srebrna rocznica naszego ślubu!... Pamiętasz... dwadzieścia pięć lat temu... przypomnij sobie co to było dwadzieścia pięć lat temu?...

— Daj spokój moja duszko i kładź się spać; próżny trud twój, bo ja sobie już nic nie przypomnę...



— Proszę pani, a gdy przyjdzie pan Erazm, to co mam z nim zrobić?

— Poproś go do mojej sypialni — ja wkrótce wrócę!

— A gdyby przyszedł jeszcze i pan Adam?

— No, to zajmij się nim sama i zastąp mnie w obec niego jako gospodyni domu — bo trudno go przecie tak odprawić z niczem...



Okropnie boję się gąsienic! Jedna z moich koleżanek nie mogła potem wyjść zamąż z powodu... gąsienicy...

— E, przesadza pani — prawdopodobnie to był taki zakopiański Gąsienica?...



— Ja chętnie pójdę zobaczyć mieszkanie pańskie, ale czy tam będzie co do jedzenia, gdyż jestem dyablo głodna!

— O, bądź spokojna moja duszko, jest *„kanapka“* a po drodze wezmę jeszcze parę kiełbasek parowych.



— Prawda panie Izydorze, że w tym kostyumie jest mi bardzo do twarzy?

— Daruje pani, ale ja w tej chwili nie patrzę na twarz!

— A jakto, a gdzie?

— Pani wie, że jestem namiętnym zbieraczem monet, a każdy numizmatyk ogląda zawsze najpierw odwrotną stronę medalu...

Ostatnie dni Krakowa.

(*wyjątek z sensacyjnej powieści*).

...Od czasu zniszczenia przez pruski balon stacyi pomp na Bielanach, mieszkańcy Krakowa pozbawieni byli wody i wielu z nich umarło z pragnienia, zwłaszcza, iż zamknięto wiele lokali śniadaniowych i restauracyi, które bez wody, absolutnie obejść się nie mogły. Eleuterya krakowska wydała orędzie do narodu, pozwalając swym zwolennikom gasić pragnienie nawet publicznie napojami alkoholowymi. Niestety, gdy zabrakło wody i te, choć tak cudownie we flaszkach się mnożące, wyschły bez śladu. Z Wisły wody używać nie było można, gdyż Prusacy przed rozpoczęciem oblężenia przekopali nowe koryto i skierowali bieg rzeki od Oświęcimia wprost ku Toruniowi z pominięciem Krakowa, Sandomierza i Warszawy.

Żelazny pierścień armii niemieckiej opasywał Kraków ze wszech stron, nie dopuszczając do komunikacyi z okolicą, flota balonowa odpędzała nawet ptaki lecące w stronę Krakowa. Nic też dziwnego, że w mieście nastały straszne czasy głodu i pragnienia. Zjedzono wszystkie konie fiakierskie i zwierzęta z Krakowskiego Ogrodu, kasztany z plantacyi miejskich wydawano codziennie po dwie sztuki na osobę. Prusacy kilkakrotnie telegrafem bez drutu zapytywali strażnika na wieży Maryackiej, czy Kraków się podda, ten dumnie jednak i z godnością odpowiadał, że mu się o tem ani nie śni!

I tak minął listopad i grudzień. Nadzieja, że spadną obfite śniegi, które dadzą się zamienić na wodę, zawiodła; t gorocz na zima choć mroźna, była absolutnie bezśnieżna, ostatni opad śniegowy mieliśmy w drugie święto Zielonych Świątek.

Zbliżał się Nowy Rok 1910 w całym świecie oczekiwany z radością przez urzędników, którzy spodziewali się pensyi i remuneracyi, przez listonoszów i ekspresów, których cieszyło noworoczne Tylko w Krakowie panowało łatwo zrozumiane przygnębienie.

Ludność miasta wynosiła w tym czasie 79380 osobników cywilnych i 12.982 wojskowych, nie licząc koni skarbowych. Pragnienie, głód i zaraźliwe choroby tak zdziesiątkowały ludność, iż cmentarz rakowicki okazał się za mały, a magistrat na grzebanie umarłych przeznacz ł plantacye. Powstało 18 przedsiębiorstw pogrzebowych, a i te nie mogły nastarczyć, choć w pocie czoła pracowały od rana do późnej nocy. Przyrost ludności był minimalny, mnożenie się ludności z kazmne zostało przez komendę fortecy z powodu braku żywności, a każde narodziny uważano za zdradę stanu i karano nader surowo.

Obawiano się, i całkiem słusznie, że Prusacy skorzystają ze sposobności, by w dniu Nowego Roku 1910, rozpoczynającego rocznicę grunwaldzką, stać się panami Krakowa i pomścić klęskę swych przodków z przed pię iuset lat. Zarządzono też środki nadzwyczajnej ostrożności, na każdym kominie ustawiono armatę a wieża ratuszowa i Maryacka jeżyły się formalnie od luf haubic.

Gdy na całym świecie obchodzono hucznie noc Sylwestrową, Kraków pogrążony był w ciszy i ciemności, nie biły nawet zegary, brakło bowiem oliwy do smarowania ich kół. Krakowianie zasnęli, niepewni co im jutro przyniesie...

Była może godzina dwunasta w nocy, gdy nad miastem przesunęły się trzy pruskie aeroplany: Zeppelin I, Gross I i Parseval I, śledząc z wysokości położenie miasta i wyszukując najważniejsze punkty strategiczne. Upłynęło może pół godziny, gdy mieszkańców miasta zbudził straszliwy huk, w chwilę potem odgłos trąbek, które grały na alarm. Niestety, było już za późno! Trzy pociski wyrzucone z balonów, zrównały ze ziemią żelazną budkę koło Rondla floryańskiego, pawilon dla wygody publicznej przy murze ogrodu Reformatów i takiż kiosk obok starej poczty. Były to trzy ostatnie miejsca ustępowe w oblężonem mieście, które padły ofiarą pruskiej zachłanności.

Wczesnym rankiem tłumy ludności pospieszyły obejrzeć dzieło zniszczenia i stanęły smutnie załamując ręce nad gruzami. Tymczasem w komendzie fortecy odbywała się narada, w której wzięli udział przedstawiciele departamentu sanitarnego miejskiego i Zarządu czyszczenia miasta. W braku materyału budowlanego do wystawienia nowych pawilonów, tak dla ludności koniecznych, postanowiono się poddać...



+ Z haremowych rozmów.

— Wiesz Sulejko, teraz będą u nas zaprowadzone europejskie małżeństwa, a każda z kobiet dostanie kilku mężów.

+ Westchnienie „kieszonkowca“.

— Mój Boże, że to taki Zeppelin nie przyjedzie do Krakowa... Wtedy każdy patrzy ino w powietrze, to łatwo mógłby człowiek coś zarobić nareście...

+ Oryginalne ogłoszenia.

Dziś pierwszy występ znakomitej panny Fujarini, najprawdziwszego słowika Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i okolicy. Łydki, biodra, piersi — wszystko naturalne. Za osobną dopłatą można się o tem przekonać po przedstawieniu w garderobie.

* * *

Jutro debiutują w tutejszem Variete bracia Iks, Fiks i Kiks połykacze ognia i wyostrzonych mieczów. Najsilniejsi mężczyźni stulecia i najklasyczniej zbudowani. Bez oszustwa! Żadne złudzenie optyczne! Nic, tylko mięśnie i ścięgna! Listy polecające i pisma uznania od najwybitniejszych dam z arystokracyi do przejrzenia w kancelaryi dyrekcyi.

* * *

Gościnny występ Kotschko d'On, *najbardziej dziewiczej* odgadywaczki myśli! *Już tylko krótki czas.*

+ Przyjaciel zwierząt.

Lekarz: Zapisałem tu panu lekarstwo. Proszę przez jutro wyżyć całą flaszkę, biorąc co godzinę łyżkę, a tasiemiec odejdzie kawałkami..

Pacyent: O.. to się po mnie nie pokaże, abym miał się tak znęcać nad biednem zwierzęciem! A zresztą, czy ja głupi wchodzić w konflikt z Towarzystwem ochrony zwierząt!...

+ Szczyt miłosierdzia.

(w atelier jednego z krakowskich fotografów).

Żebrak (otwierając zwolna drzwi): Litości godna osobo! Proszę o jałmużnę... Jestem nieszczęśliwy nędzarz, w domu mam chorą żonę i sześcioro dzieci..

Fotograf: Dajcie mi spokój, nie mam drobnych... Ale, wiecie co, przyprowadźcie tu jutro swoje dzieci, to wam je za darmo odfotografuję!

+ U nowego sułtana.

Agent asekuracyi: Najjaśniejszy panie, może zrobimy interes. Wszyscy *lepsi* panujący zabezpieczyli się już u mnie na wypadek utraty tronu.

+ Oburzona.

Mąż: Otrzymałem dziś anonim, w którym jakiś nieznajomy przyjaciel donosi mi, że widziano cię wczoraj z pewnym panem wchodzącą do separatki.

Żona: Oszczerstwo.. podłe oszczerstwo... on ma własne mieszkanie!

+ U dyrektora teatru.

Dyrektor (angażując nową artystkę): No... tak.. Nogi piękne, wcale piękne... ale ja mam *wyższe* wymagania!

Energiczny radca i pokorny dyurnista.

Radca: Co to znowu, pan wychodził teraz... w godzinie urzędowej?

Dyurnista (pokornie): Pan radca dobrodziej daruje, skoczyłem tylko na chwilę naprzeciwko, aby sobie dać włosy ostrzydz.

Radca: Co...? ostrzydz włosy... w godzinie urzędowej..?

Dyurnista: Panie radco dobrodzieju, a przecież mnie włosy rosną także w godzinach urzędowych!...

Z pamiętnika panny Józi.

Ludzie mówią, że cnota to klejnot. Ja naprzykład mam tyle klejnotów, że bez tego jednego w zupełności się obejdę!

*

Platoniczna miłość — to kawały.

*

O szlachetne kamienie potknie się i najcnotliwsza kobieta.

A LA HEINE.

Szli sobie późnym wieczorem
Zdecydowani na wszystko —
On był już nadkonduktorem,
A ona telefonistką.

Lecz mimo flirtu i narad
Nie mógł jej serca nakłonić,
Gdyż chociaż dzwonił w aparat,
Ona nie chciała oddzwonić.



Na wycieczce.

Panna (do towarzysza): Co pan woli, panie Alfredzie: całusa, czy dwa całusy?

Facet: To, co po całusach następuje.

Siła przyzwyczajenia.

Bankierowi wiedeńskiemu Rothowi, właścicielowi firmy: „Roth i Stangl“, powiła niedawno żona dziecko. Gdy mu akuszerka w parę dni po radosnym fakcie przyniosła z urzędu metrykalnego kartkę meldunkową do wypełnienia, wpisał Roth w rubryce: „ojciec“ przez roztargnienie: Roth i Stangl.



Dobry apetyt.

Pewien szlagon zgłasza się do prof. Pareńskiego i skarży się na brak apetytu.

— Cóż pan jada przez dzień cały? — pyta profesor.

— Rano — powiada szlagon — jem dziesięć jaj na miękko, sześć na twardo, trzy szklanki herbaty, a na to pół litra wina. O godzinie 10 rano jem zwykle gulasz, albo kawałek polędwicy i jeden litr wina, a potem dopiero skromny obiadek, który się składa z zupy, rozbratla, kurczęcia lub gęsi smażonej, leguminy, jarzyny, czarnej kawy, wina i piwa, po obiedzie szynka...

— Więc czegóż panu brakuje — przerywa profesor — chyba... drugiej dziurki...

Facecye, za których autentyczność ręczę.

Pan Taubles i Kohn, dwaj krakowscy finansiści m. w. (mojżeszowej waluty) wybrali się do Wiednia w celu załatwienia interesów i zamieszkali dla taniości na najwyższem piętrze. Gdy powrócili z miasta, portyer zwraca się do chłopca zajętego przy windzie:

— *Liftboy, hinauffahren die beiden Herren, im vierten Stock ausliften!*

Na to pan Taubeles oburzony:

— *Nu, was ist ausliften?* Czy ja potrzebuję śmierdzieć? A może to ty Icuniu?

Do Maryenbadu zjechał na kuracyę pan X., który od dłuższego czasu cierpiał na nader uporczywą obstrukcyę i zamieszkał w jednym z pierwszorzędnych pensyonatów. Pewnego wieczoru spotyka na korytarzu jakiegoś obcego, który tego dnia dopiero przybył, a który go zagadnął uprzejmie:

— Najmocniej przepraszam, czy pan dobrodziej nie mógłby mi wskazać, gdzie tu jest miejsce ustępowe?...

— Bardzo żałuję, ale nie mogę służyć — odpowiada pan X. — Ja w tym pensyonacie mieszkam dopiero od czternastu dni...

Jak pięknie wygląda nasz styl urzędowy, bardzo łatwo można skonstatować ze sprawozdania, które urzędowy opiekun przedłożył sądowi opiekuńczemu:

— „Co się zaś tyczy mojej pieczy oddanych nieletnich, donoszę uprzejmie, iż wszystkie trzy zaszły obecnie bez mojej winy i woli w stan błogosławiony, z wyjątkiem Józefa, który obecnie służy przy 3 batalionie 13 pułku piechoty“.

Pewna bardzo oszczędna pani zaprosiła do siebie na obiad znanego z apetytu pana Y. Obiadek był rzecz oczywista nader skromny, a porcyjki miniaturowe. Po deserze, gdy gość zabawiał gospodynię rozmową, ta zwraca się ku niemu z miłym uśmiechem i pyta:

— A kiedy będę mogła mieć znowu przyjemność zaprosić pana na obiad?

— Choćby zaraz, dobrodziejko! — odpowiada zagadnięty, który podrażnił tylko, a nie zaspokoił swój głód skromnym obiadkiem.

Gdy niedawno do Bośni wyjeżdżał z pewnego galicyjskiego miasteczka batalion piechoty, gdy pociąg był już w ruchu, równo z wagonem, w którym siedzieli oficerowie, pędził żydek miejscowy lichwiarz i wołał:

— Herr Lejtnant lejben! a niech pan nie będzie zanadto odważny, żeby ja nie stracił moje pieniądze!...



I tu niema!...

Pan Jakób Stinkvogel miał młodą żonę Ryfcię. Pani Ryfcia nie była znowu tak wielką międzynarodową pięknością, ale na małem miasteczku, gdzie państwo Jakóbowie mieszkali, była jedną z najładniejszych kobiet. W tem samem miasteczku stał także i pułk ułanów — nic dziwnego zatem, że trzymając się zasady, iż „na bezrybiu i rak rybą“ — koło czy nie koło pani Ryfci, dość, że kręcił się jeden z młodszych poruczników. Na czułe *tete a tete* wybierano zwykle chwile, kiedy pan małżonek pięknej pani Ryfci szedł na partyjkę *klabra* do kawiarni, gdzie regularnie spędzał czas od 8 wieczór do 11.

Tak było i w dniu niniejszym. Pan Jakób przyszedł nieco zawcześnie i zwykłych stałych jego partnerów nie było jeszcze w kawiarni. Przysiadł się więc do stolika, przy którym grało inne znajome towarzystwo i zaczął na głos kibicować. Upominano go, aby nie przeszkadzał, ale to nie pomagało, pan Jakób wtrącał się dalej i denerwował graczy.

Jednemu z grających było już tego za dużo i gdy wreszcie z powodu złego doradzenia ze strony Stinkvogla przegrał partyę — zrywa się z krzesła a zwracając się do niego mówi:

— Lepiej poszedłbyś pan pilnować swojej żony, bo tam u niej jest teraz ten porucznik od ułanów i uczy ją talmudu!...

— Co?! — wrzasnął Stinkvogel — pan to musisz cofnąć! Ja to panu w gębę nazad schowam! Ja pana pisk zbije!

Byłaby powstała ogromna awantura, bo Jakób był w pysku bardzo mocny i krzyczeć umiał dopóki po pysku nie dostał, ale wmieszali się zaraz inni gracze i zaczęli sprawę łagodzić.

— Co jest? — mówi jeden z nich. Co sze tu zaraz bicz. Ty Jakób idź do domu, jak temu oficerowi ni ma u twoje żone, to un cze bedże muszał przeproszycz.

— *Ist gut* — odpowiada Stinkvogel, biorąc kapelusz — jak ja nie znajde tego ułana, to jemu szlak trafi, ty złodżyj na ludzki honor.

Wdział kapelusz i pędem pobiegł do domu.

Tymczasem u pani Ryfci bawił rzeczywiście porucznik! Rozmawiali ze sobą, wychodząc jednak z zasady, że czas to pieniądz, pan porucznik odpasał szablę i zaczął pani Ryfci... pokazywać rozmaite kawałki. W trakcie tego rozlega się przyspieszone tupanie po schodach.

— Ach! mój Jakób! — szepce pani Ryfcia. Co robić!? Ja tego nie przeżyję, co un sobie pomyśli, jeszcze co złego...

Porucznik tłómaczy jej, aby się nie obawiała, że on to załatwi sam z jej mężem, ale pani Ryfcia nie chce się zgodzić.

— Za nic w świecie — on by się ze mną rozwiódł, a ja bym tego wstydu nie przeżyła— ty musisz się schować. I pomimo oporu, pakuje porucznika do dużej małżeńskiej szafy, poczem dopiero otwiera drzwi mężowi.

— Co jest!? — krzyczy wpadając jak bomba Jakób — gdzie jest ten ganef, ja jemu zabije, ja jemu nos obetne z szablem jego własnem, ja jemu wszystko obetne...

— Co tobie jest Jakób? — pyta pani Ryfka. Komu obetniesz? Czego ty tak krzyczysz tak, że sie wszystkie ludzie z całe ulice pozbiegają? Czy ty zwaryował? Tu przecież nie ma nikogo...

— Jak nima nikogo! Mnie powiedział ten rudy Pomeranz, co u ciebie jest jakiś dragon! Ty świnia, ty z takim koszernym gojem!... Ty ni masz mnie? Ja jemu zaraz znajdę!...

I mówiąc to schyla się pod łóżko. Nie znalazłszy pod łóżkiem nikogo, wyłazi i sapiąc mówi:

— Tu nie ma nikogo...

Zagląda pod drugie łóżko, nie znalazłszy znowu nic podejrzanego, patrzy na żonę starając się w jej oczach wyczytać, gdzie może być ten ktoś ukryty i mówi:

— I tu nie ma nikogo...

Porucznik zaś słysząc w szafie, że zazdrosny mąż robi awantury, wyjął na wszelki wypadek rewolwer i siedzi dalej w szafie, trzymając jednak rewolwer wymierzony naprzód.

Nie mogąc nigdzie znaleźć owego ktosia — otwiera wreszcie Jakób szafę, ujrzawszy jednak porucznika trzymającego rewolwer, zamyka szafę czemprędzej z powrotem i woła:

— Aj waj! I tu nie ma nikogo!



To i owo.

Pierwsza miłość podobna jest do listu kobiety, bo następuje po niej... *postscriptum*.

* * *

Są ludzie moralni z zasady, ale większość z przykrej konieczności.

* * *

Nie jeden żeni się tylko dlatego, aby miał kogo zdradzać.

* * *

Młodość ma swój urok — ale dlaczego stara jak świat rozkosz nigdy go nie traci?

Hyperbola.

Na równiku jest tak gorąco moi panowie — powiada pewien podróżnik — że kurom uwiązują woreczki z lodem, żeby nie wylęgały jajek na twardo...

Klucz.

Jakiś facet wraca późnym wieczorem do domu. Już ma otworzyć bramę, gdy spostrzega jakąś elegancką damę przed bramą drugiej kamienicy. Dama czeka długo na stróża.

— Czy mogę pani służyć kluczem od bramy?

— Do mojej bramy nie będzie przecież stosowny — odpowiada dama.

— Ale do mojej...

Autentyczne doniesienie urzędowe.

Agnieszka Pigulińska, panna, cnoty wszelako aktem policyjnym pozbawiona — przyłapana na zanieczyszczaniu miejsca pod karą 5 koron, jako że goła była, niniejszem do aresztów miejskich z dowodami winy, na miejscu wypadku zebranymi, dostawia się dla ukarania...

Jacenty Cytryna,
strażnik miejski za dekretem.

Mądry piccolo.

Piccolo: Panie płatniczy, ten gość, na którego mi pan kazał uważać, to doprawdy musi być wielki łajdak!

Płatniczy: A to dla czego?

Piccolo: No, bo nie zapłacił panu i poszedł...

Zasada kokotki.

Oto zasada z „półświatka“ damy,
Mieć duże serce — i klucz od bramy!

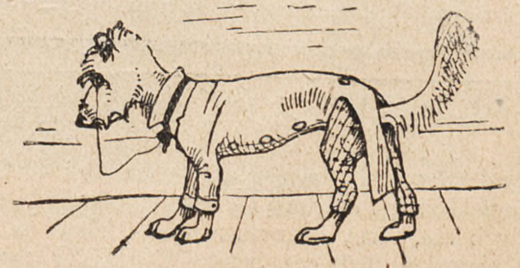
Echa z Zielonych Świąt.

Jedno z krakowskich pism przyniosło po Zielonych Świętach następującą notatkę:

„Tegoroczne wycieczki Krakowian na Bielany w Zielone Święta z powodu zimna widocznie nie dopisały. Publiczności w stosunku do innych lat było w tym roku bardzo niewiele“.

Natomiast w kilka dni po Zielonych Świętach, to samo pismo przyniosło następującą notatkę:

„Na Bielanach znaleziono po Zielonych Świętach 385 guzików od męskich spodni, 123 podwiązek, 21 par szelek i 37 majtek damskich“...



W przedpokoju.

Pokojówka: Przepraszam bardzo, ale moja pani już jest w łóżku.

Facet: Ach, tak! Dzisiaj jest widocznie wieczór towarzyski u twojej pani...

Fst modus

Ona (z płaczem): O najdroższy! Tato powiedział, że nie powinniśmy więcej się widzieć!

On: Dobrze — zgaśmy zatem lampę!

Srebro psuje się od jaj.

Do renomowanej mleczarni pani Maryi K. przyszedł złoty młodzieniec Zdziś S. i kazał sobie podać jajecznicę. Zdziś zdziwił się, że do jajecznicy podano mu łyżeczkę z kości słoniowej, zamiast srebrnej, jak zwykle dotychczas podawano.

— Co to — pyta gospodyni — dlaczego pani nie podaje srebrnej łyżeczki, ale jakąś z kości?

— Tak jest — rzekła gospodyni — to jest łyżeczka z kości słoniowej, bo od jaj srebro czernieje.

— Tak?? — pyta zdziwiony Zdziś, a wydobywając z dolnej kieszeni w spodniach srebrną papierośnicę, ogląda ją i chowa do górnej kieszeni surduta.

W kąpielach.

Pierwszy kuracyusz: Co to panu jest, jeśli wolno spytać?

Drugi kuracyusz (Galicyanin): Ja choruję na katar żołądkowy, a na co pan łaskaw jest chorować?

Z najnowszych badań biblijnych.

Nie Ewa, lecz Adam zjadł jabłko, a jej dał potem korzonek.

Przyczyna.

Pani (godząc kucharkę): Dlaczego opuściłaś ostatnią służbę?

Kucharka: Pani była nieprzyjaciółką armii.

Zoolog.

Mały Józio (patrząc w mikroskop, do swej muzykalnej siostry): Spojrzyj Elżuniu, ta pchła, com ją na tobie złapał, ma watę w uszach.

Kto najmądrzejszy.

Umarł jakiś bogaty dziwak i w ten sposób rozporządził swoim spadkiem: „Należy zwołać po jednym reprezentancie z trzech wyznań: katolickiego, ewangielickiego i mojżeszowego i każdy z tych trzech reprezentantów ma włożyć po mojej śmierci do mojej trumny trzysta koron. Który z nich uczyni to w sposób najmądrzejszy, ten będzie moim uniwersalnym spadkobiercą". Zwołano trzech: katolika, protestanta i żyda. Katolik zaniósł do grobu bogatego dziwaka 300 kor. w złocie i był pewnym, że weźmie spadek. Protestant włożył do trumny 300 kor. w procentujących się papierach wartościowych (pupilarnych), i był pewny, że weźmie spadek, bo niema chyba mądrzejszego sposobu. Żyd zabrał z trumny leżące tam 600 kor. w złocie i papierach, a natomiast włożył tam weksel na 900 kor. (600 kor. za tych dwóch, a 300 za siebie), no — i on wziął spadek.

Między przyjaciółkami.

— Wyobraź sobie, ten tyran, mój mąż, koniecznie żąda, żebym sama gotowała.

— W takim razie nie miałabym nad nim żadnej litości.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za redakcyę odpowiedzialny: Stefan Karczmarski. Z Drukarni Józefa Fischera w Krakowie.



– Proszę pani, mógłbym prosić aby pani była tak łaskawą przykryć nieco te śliczne nóżęta?
– Kiedy mnie tak wygodnie!
– Ba, dobrze pani tak mówić, ale ja jestem chory na serce i lekarz kazał mi unikać wszelkich wzruszeń...